

Projekt: *Grubisbalm*

Kraj: *Szwajcaria*

Wolontariuszka: *Mirosława Łapawa*

Czas: *listopad 2014 – listopad 2015*

Zaczęło się od znajomego, który opowiedział mi o programie wolontariackim w jego mieście. Pewnego razu wpisałam w wyszukiwarce hasło, zaczęłam czytać i szukać propozycji wyjazdu. Skupiłam się na ochronie środowiska, bo to moja „działka”. Trochę to trwało zanim znalazł się wakat i miejsce, do którego chciałam pojechać. Ale w końcu się udało. Zdecydowałam się na Szwajcarię. Zadzwoiła do mnie koordynatorka projektu i zaprosiła na miesiąc próbny.

Nadchodziła zima, spakowałam się w jeden wielki turystyczny plecak, kupiłam bilet i pojechałam w nieznaną. Na miejscu okazało się, iż będę mieszkać i pracować na górze zwanej Rigi. Górę, którą można zdobyć wyłącznie na pieszo lub wjeżdżając kolejką górską. Nie skusiłam się na pierwszą opcję☺ Kiedy wjeżdżałam na górę było słoneczne, niedzielne popołudnie, liście już pożółkły, ale trawa była nadal zielona. Mgła unosiła się gdzieś nadając okolicy niezwykle magiczny klimat. Widok był po prostu wspaniały - w oddali szczyty Alp, jezioro Czterech Kantonów, lasy i łąki, małe wioski i rozświetlający blask słońca...

I tak już zostałam na rok, choć nie była to łatwa decyzja.

Miejsce pracy to był to Biohof, które oferowało swoje produkty i życie w zgodzie z ekologicznym trybem, przynajmniej według jego założycieli. Wszystko kręciło się głównie wokół zwierząt i ogrodu. Inną aktywnością była praca socjalna z osobami niepełnosprawnymi i trudną młodzieżą czy ludźmi z tzw. wypaleniem zawodowym. Gościli oni na farmie tak długo jak bardzo wsiąknęli w idee eko-życia. Było też kilku stałych gości.

Jednym z nich był samotnik Alojz mieszkający w wagonie budowlanym, który całe życie przepracował w gospodarstwach, ciągnęło go do alkoholu i tak go życie pokierowało, że po 50tce trafił właśnie tam. Miły i sympatyczny człowiek. Była też Monique, cierpiąca na schizofrenię, która była niczym tajny agent wywiadu, wiedziała wszystko o wszystkich. Był i Seppi, którego rodzina przeniosła z innego miejsca właśnie tu. Mimo swoich problemów ze stabilnym poruszaniem się lubił wyprowadzać kozy. A gdy nie chciały iść krzyczał, że przerobi je na salami.

Zima była spokojnym czasem oczekiwania na „sezon”; robiono zapasy drewna, odśnieżano drogę wokół domu, podstawiano miski w miejscu gdzie przeciekał dach, wieczorami wytwarzano biały ser z krowiego mleka, pakowano mieszanki ziół na herbaty, doglądano zwierząt, przygotowywano zamówienia dla miejscowych sklepów i hoteli, piekło domowy chleb i dużo gotowało. Był też czas na snowboard, sanki, co sprawiało mi najwięcej radości.

Kiedy już nadeszła wiosna, a po niej lato obowiązki zaczęły się mnożyć. Od gości, którzy przybywali przenocować na strychu starej stodoły, poprzez różne seminaria i szamanistyczne rytuały w tipi, koszenie siana na pagórkowatych łąkach, aż po późniejsze jego zbieranie w 35 stopniowym upale, prace w ogrodzie i codzienne nawożenie i podlewanie roślin, wyprowadzenie krów w górne partie gór, kończąc na masie wolontariuszy z różnych krajów i gości domu, którzy wnosili niezwykłą lekkość w napięte czasami stosunki między domownikami.

Życie płynęło wartko. Po pracy lub w czasie sjeisty chodziliśmy nad jezioro popływać lub do wodospadu odpocząć. Wieczorami robiliśmy ogniska i imprezy i połączyło nas więcej niż tylko ten stary dom, krowy z rogami i wszechogarniający chaos, który rozumiał tylko szef.

Tekst: *Mirka Łapawa*